Annales Collegii Nobilium Opolienses
5 (2016)

Wojciech Żełaniec
Uniwersytet Gdański

Polonia Semper Fidelis (?)

Wierność jest tym większą wartością – oto główna myśl tego przyczynku – im lepiej wiadomo, w czym powinna się ona w danych okolicznościach przejawić. Taka ujawniająca się w działaniu wierność – zakładam, że uświadomiona – może być potężną pobudką działania, zwłaszcza i przede wszystkim w sytuacjach stanowiących prawdziwe wyzwanie. Ale będzie nią dopiero wtedy, gdy będzie miała jakąś mniej czy bardziej – lepiej: bardziej – określoną treść.

Tak wypowiedziana powyższa myśl może się wydawać banalna. I poniekąd taka jest. A jednak ciekawy może być kontekst, w którym się ona komuś nasunie. W moim przypadku był on taki, jak następuje. Mam nadzieję, że wyda się Czytelnikowi wystarczająco ciekawy.

W 1966 r. miałem sześć-siedem lat, dlatego pamiętam ów rok fragmentarycznie i jak przez mgłę. To jednak, co pamiętam, jest na ogół przyjemnie podniosłe i zarazem radosne, czasami trochę zagadkowe, oczywiście z mojej ówczesnej perspektywy sześcio-siedmiolatka. Do takich elementów zagadkowych zaliczyłbym np. napis „966–1966" widniejący na gurcie (tak to się chyba nazywa) sklepienia jednego z kościołów mojego dzieciństwa. Wyjaśniono mi, że to właśnie daty chrztu Polski i roku bieżącego, razem tysiąc lat, czyli po łacinie *millennium*… Przyjąłem to do wiadomości, ale mimo wszystko dziwne mi się wydawało, że może być rok mający tylko trzy cyfry i niezaczynający się od „1". Zdziwienie moje budziło wtedy, zresztą i dużo później, w jaki sposób *cały kraj* może przyjąć chrzest. Do składników natomiast mniej jednoznacznie przyjemnych należała atmosfera skrępowanego zakłopotania, tak bym to określił, towarzysząca wszelkim spotkaniom w sprawie Tysiąclecia sfery tego co kościelne i sfery tego, co pozakościelne, co wtedy znaczyło: państwowe. Dla Kościoła Tysiąclecie było

tysiącleciem chrztu Polski, dla państwa natomiast (tj. – dla młodszych czytelników – PRL, reprezentowanego wówczas w moich oczach głównie przez radio i moich pierwszych nauczycieli) było to tysiąclecie polskiej państwowości. Jakiś czas przed oficjalnymi obchodami tego podwójnego święta dotarła do mojej świadomości wiedza o akcji „tysiąc szkół na tysiąclecie", która łączyła mi się niezbyt jasno i niecałkiem przyjemnie z moją własną, mającą właśnie w 1966 r. nieuchronnie nastąpić, skolaryzacją. Właściwie było to całoroczne święto nie tyle podwójne, co „popółtorne", gdyż Kościół nie negował wcale państwotwórczej doniosłości chrztu Polski, podczas gdy strona państwowa uporczywie milczała o jego aspekcie religijnym, a milczenie to miało wydźwięk negacji lub oczywistego pomniejszenia. *Qui tacent,* non *clamant* czasem… Wtedy to zaczęło mi świtać, że całe życie w Polsce jest podwójne lub „popółtorne", bo to, co głosi Kościół i co za nim powtarzamy my jako jego członkowie, tego nie wolno mówić publicznie i na odwrót, tego co mówią w radiu nie należy raczej powtarzać (bez zmian i dodatków) w kręgach kościelnych. (Nieco później przekonałem się, że również państwo jest podwójne, bo równolegle do Sejmu, rządu i premiera jest zjazd PZPR, jego komitet centralny z sekretariatem i tegoż pierwszy sekretarz – nie bez przyczyny mówiono wtedy zawsze o „władzach partyjno-państwowych" – przy czym nawet dziecku z pierwszych klas szkoły podstawowej wcześnie zaczynało się stawać oczywiste, że prawdziwa władza w Polsce należy do Partii (dla młodszych czytelników – PZPR). Nieco inny rodzaj zakłopotania, a chcę przez to powiedzieć, że był on wyczuwalnie inny również dla mnie, było to, które towarzyszyło jakiemuś tajemniczemu „listowi biskupów" – listowi biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 r., jak się miałem później dowiedzieć. Było to zakłopotanie niepochodzące wyłącznie z radia czy przynoszonych przez ojca gazet, ale w jakimś stopniu własne, autentyczne, nieudawane, jak udawana była radość ze święta Pierwszego Maja. Padały strzępki jakichś pytań, powiedzielibyśmy może bardziej retorycznych, w rodzaju „oni nam wybaczać – co?" czy tp., ale znowu, zakłopotane milczenie w odpowiedzi na takie pytania jednak może nie całkiem retoryczne nasuwało małemu chłopcu uczucie, że kimkolwiek by byli owi „oni" to jednak mieli oni to i owo nam do wybaczenia… Ale radosna, podniośle rozmarzona atmosfera wracała ze wspomnieniem św. Wojciecha, który, mimo że zginął męczeńsko 31 lat po chrzcie Polski, musiał się wydawać z perspektywy XX w. kimś temu wydarzeniu współczesnym i z tego powodu był (tak zdaję się sobie przypominać) często w „roku owym" wzmiankowany.

Na to wszystko nałożyły się w moim wspomnieniu treści odnajdowane później przeze mnie w zachowanych przez rodziców na pamiątkę różnych pu-

blikacjach milenijnych, przeważnie wydawnictwa PAX, stąd nie jestem pewien, czy moja pamięć nie rzutuje na 1966 r. czegoś, co słyszałem albo czytałem kilka lat później. Ach, i była jeszcze Biblia Tysiąclecia na owo tysiąclecie, zwana Biblią tysięcy błędów przez ks. Dąbrowskiego, ale z nią zawarłem bliższą znajomość dużo później, bo moi rodzice woleli Nowy Testament (ten im wystarczał) w tłumaczeniu tego ostatniego. Zastanawiałem się później, jakby to było, gdyby w tysiącu szkół na tysiąclecie studiowano Biblię Tysiąclecia, ale zapewne z powodu wspomnianej wyżej dwoistości ówczesnego życia polskiego sama ta idea wydała mi się niespójna i niemożliwa.

Od tego czasu minęło pięćdziesiąt lat. Nie jestem pewien czy to, co dziś ogląda człowiek starszy, jakim już jestem, w pamięci współczesnego mu sześcio-siemiolatka zapisze się czymś w ogóle porównywalnym, nie mówiąc już: podobnym do tego, co zapisało się w jego przed półwieczem. Na ślad jakiejś musilowskiej „akcji równoległej" à la PRL państwa wobec obchodów Kościoła trudno wpaść, przeciwnie, państwo (RP) pomaga jak tylko może. Możemy się tego dowiedzieć m.in. z odnośnej strony internetowej, http://chrzest966.pl/, która powstała „z inicjatywy Konferencji Episkopatu Polski i Narodowego Centrum Kultury" i z której możemy się dowiedzieć, że np. 31. października 2016 r. w Muzeum im. [*sic*] Orła Białego w Skarżysku-Kamiennej zostanie otwarta mobilna [ruchoma?] wystawa pt. „Walka o rząd dusz. Millenium Chrztu Polski a Tysiąclecie Państwa Polskiego" i na której jest też link do zajmującego i inteligentnego filmiku z gatunku *infotainment* pt. „Chrzest Polski. Historia bez cenzury". Przypuszczam, że różnego rodzaju wydarzeń i publikacji związanych z rocznicą chrztu Polski jest wielokrotnie więcej niż 50 lat temu. I tak, jest nowe tłumaczenie Biblii (Biblia Paulistów), szykuje się tłumaczenie ekumeniczne i nowe wydanie Biblii Tysiąclecia. A jednak nie jestem pewien czy wszystkie te uroczystości i „*event*y" – w tym też rekonstrukcja chrztu Polski na Ostrowie Tumskim w Poznaniu – zostawią u wielu trwałe wspomnienie. I też nie tylko dlatego, że z kolei jest ich, mogłoby się wydawać, tak (za?) dużo, i uwaga się rozprasza, chociaż to też może odgrywać pewną rolę. Dlaczego więc? Czemu obchody *millesimi et quinquagesimi anni* mimo ogłoszeń „w realu" i w Internecie, imprez, nabożeństw itp. są tak wytwornie dyskretne? Łatwą i powierzchowną byłaby odpowiedź, że z powodu mnogości wszelkiej możliwej oferty kulturalnej, rozrywkowej, religijnej i quasi-religijnej czasów współczesnych, w której one giną lub przynajmniej tracą na dostrzegalności, pluralizmu politycznego, nieobecności paradoksalnie wzmacniającej opozycji czynników „partyjno-państwowych" (jak to kiedyś mówiono); wszystko to prawda, ale mam wrażenie, że nie dotyka istoty rzeczy.

Myślę, że istotne znaczenie ma tu kontekst historyczny. Nie wyczerpuje on z pewnością „istoty rzeczy", ale jest jej ważnym składnikiem. Ta szczególna atmosfera obchodów Millennium – dzięki której zapadły one w pamięć niejednego w owym czasie kilkulatka – była nie tylko wypadkową zabiegów inscenizacyjnych Kościoła i państwa (PRL), oraz powstającego na ich przecięciu niekontrolowanym przez nikogo „efektu synergetycznego" – ale i kontekstu dziejowego, w którym była osadzona. Kontekstem tym były niedawno minione lata strasznej wojny i okupacji oraz tego niewiarygodnego, bezprzykładnego ludobójstwa, które na oczach Polaków się na ich ziemi odbyło, masowych przesiedleń ludności, w wyniku których również udręczony naród polski znalazł się *nolens volens* w roli mającego kogo prosić o przebaczenie, ponurych lat stalinowskich, „odwilży" wczesnego okresu Gomułki i krystalizującej się w jego okresie późniejszym zrozumienia, że reżim Gomułki nie spełni jednak pokładanych w nim początkowo nadziei. Z tego wszystkiego naród polski wyszedł, przynajmniej w swoim mniemaniu i przynajmniej w większej części, wierny nauce Chrystusa i Kościołowi; to dawało poczucie siły i autonomii, a także, co ważniejsze, dawało tej sile i autonomii określoną treść, dzięki której można było patrzeć z pewną otuchą w przyszłość; mniej ważne, że treść ta nie była może całkiem jednolita, bo już wcześnie zarysowała różnorodność prądów w polskim katolicyzmie, mimo dominacji prądu tradycjonalistycznego prymasa Wyszyńskiego. Chodziło więc w obchodach Millennium nie tylko o to, by sobie tylko biernie uświadomić, patrząc w głęboką studnię tysiącletniej polskiej przeszłości, „wieczną wierność" narodu polskiego wobec chrystianizmu, ale by z radością (pomimo PRL-u) i otuchą zaakceptować dotrzymanie tej wierności w czasie właśnie minionych, czasie wielkiej próby, w przekonaniu, że umocniony tym świeżym wspomnieniem naród polski tym skuteczniej stawi czoła wyzwaniom kolejnym – które naturalnie i wybaczalnie wyobrażano sobie jako przedłużenie i kontynuację dotychczasowych. To że siłę i mądrość do tego potrzebną naród polski będzie czerpał z Pisma św. i Tradycji Kościoła rozumiało się samo przez się.

Otóż wydaje mi się, być może błędnie, że w obchodach naszego obecnego *sit venia verbo „Mille-et-Quinquagintennium"* takiego czy podobnego motywu nie ma. Wprawdzie naród polski zrzucił komunistyczną dyktaturę dwadzieścia siedem lat temu – i w tym sensie można powiedzieć, że sprostał próbie, na którą składała się tamta poprzednia i różne nowe, które po niej nastąpiły – ale od naszej 1050-tej rocznicy upłynęło zbyt wiele lat, zbyt wiele się wydarzyło w międzyczasie, zbyt wiele interpretacji tego wydarzenia podano, byśmy mogli sobie z przekonaniem powiedzieć: „tak, byliśmy wierni, pozostaliśmy i pozostaniemy wierni". Zbyt wielkie jest też rozczarowanie tym, co przyszło

po 1989 r. i zbyt nieokreślona przyszłość, do jakiej zmierzamy, a nie ma nawet pewności, że przyszłość ta będzie w najogólniejszym nawet sensie lepsza. Kiedy Holendrzy w 1932 r. zbudowali długą (trzydzieści kilometrów) tamę Afsluitdijk, oddzielającą Morze Północne od zatoki Zuiderzee, umieścili na bramie tego dzieła zbiorowego wysiłku płaskorzeźbę przedstawiającą – nie, nie królową ani godło państwa, ani inne „godne" sjużety, ale – robotników oraz napis „*Een volk dat leeft bouwt aan zijn toekomst*", naród, który żyje, buduje swoją przyszłość. W przypadku Polaków doby dzisiejszej nie jest pewne czy mają oni jeszcze prawo i przywilej budowania *swojej* przyszłości: tyle jest sił, które chciałyby i czują się powołane zdjąć z barków potomków Lecha ten nieznośny ciężar (Holendrzy mieli o tyle łatwiej, że wyzwanie rzucone im przez morze było aż nadto oczywiste, a nikt nie kwapił się, by zbudować jakąś tamę za nich). Co mówią nam te siły? Mówią, że mamy być „normalnym", cokolwiek to znaczy, europejskim krajem, nowoczesnym (nie bez kozery istnieje partia polityczna o tej nazwie), postępowym, opartym na wartościach europejskich, zdefiniowanych (jakoby dopiero) w epoce Oświecenia, którego rzekomo nigdy nie mieliśmy i które musimy spiesznie nadrobić, i w toku Wielkiej Rewolucji Francuskiej (której, pozostaje mieć nadzieję, nadrabiać już nie musimy). Owszem, najsłynniejsza pieśń tejże właśnie rewolucji głosiła wprawdzie, że:

[a]*h ça ira, ça ira, ça ira!*
Suivant les maximes de l'evangile.
Ah ça ira, ça ira! ça ira!
Du législateur tout s'accomplira.
Celui qui s'éleve on abaissera,
Et qui s'abaisse l'on élevera,
Ah ça ira, ça ira, ça ira!
Le vrai catechisme nous instruira,

a że kto się wywyższa będzie poniżony, i na odwrót, głosiła właśnie już Ewangelia (Mt 23, 12 i Łk 14, 11), ale nie bądźmy małostkowi. Dalej: jeśli Polska ma zająć jakiekolwiek miejsce w przyszłości, tak się pisze, mówi i sugeruje, musi się odmienić, musi stać się inna niż zawsze była, w tym również: musi stać się *mniej* katolicka; i to nie tylko mniej *tradycjonalistycznie* katolicka, ale *po prostu* mniej katolicka – gdyż coraz liczniejsza i coraz bardziej wpływowa jest w Europie grupa tych, którzy reagują alergicznie na wszelką religię we wszelkiej możliwej postaci, kto wie, może z wyjątkiem religii Latającego Potwora Spaghetti, a może nie, biorąc pod uwagę, że ta quasi-religia nie jest aż taką „zgrywą", na

jaką wygląda. Taka ma być Polska *mniej,* jeśli udziałem jej mają się stać świeckie błogosławieństwa, gotowane dla nich przez różnych naprawiaczy świata. A jaka ma się Polska stać *bardziej?* To nie jest już takie bardzo jasne, i dlatego z tej wizji przyszłości urządzanej nam przez innych, trudno czerpać wiele otuchy.

Przeszkadza też bardzo ta okoliczność, że zarysowujące się dylematy nie sugerują „zawsze wiernemu" Polakowi tak oczywistych odpowiedzi, jak to było w przypadku (bolszewickiego, dodam, by odróżnić go np. od włoskiego) komunizmu. Przyjmować uchodźców czy też ich nie przyjmować? Cieszyć się z Brexitu czy obawiać się jego następstw? Stawiać na umocnienie euro czy postulować zastąpienie tej waluty dawnym pieniądzem narodowym? Trudno tu o jakąś jasną oraz wyraźną i co ważniejsze, dającą podstawę dyrektywom konkretnego działania prawdziwie *katolicką* odpowiedź, choć oczywiście pogłębiona lektura pism ks. de Lammenais czy o. von Nell-Breuninga T.J. może w każdym razie przynieść tylko pożytek; ale nawet ci prawdziwie katoliccy przecież myśliciele nie są oficjalnym głosem Kościoła; zresztą nie są nieomylnym nauczaniem *ex cathedra,* „uroczystym i nadzwyczajnym", również i papieskie encykliki społeczne od *Rerum novarum* Leona XIII począwszy. Oczywiście, „prosty" katolik wyrobi sobie swoje katolickie zdanie o powyższych problemach czy o takim lub innym traktowaniu ludzi w nowym ustroju, w inny sposób, np. przez dyskusję z sobie podobnymi lub przez lekturę tych czy owych katolickich czasopism czy książek, ale będzie to jego prywatna, choć na swój sposób przecież również katolicka opinia. Duszpasterzom natomiast, którzy podobne opinie chcieliby głosić *ex ambona* rychły będzie, jak pokazują doświadczenia ostatnich kilkunastu lat polskiego Kościoła, pisany kres ich posługi duszpasterskiej; tych zaś spośród nich, którzy takie swoje „wysokoprofilowe" opinie głosić by chcieli z łam czasopism, z pewnością szczerze uradują rozmaite wysoce sugestywne zachęty do zamilknięcia, wychodzące od odnośnych władz kościelnych. Na szczęście jest zawsze jeszcze temat aborcji, ale przez jakiś nieszczęśliwy zbieg okoliczności, a może raczej przez brak staranności w wyjaśnianiu, o co właściwie chodzi, udało się przekonać szerokie kręgi, że potępienie (legalności) aborcji wynika z jakichś osobliwych, niezrozumiałych poza jej ramami nakazów religii katolickiej, jak zakaz jedzenia wołowiny wynika z nakazów hinduizmu i dlatego też nie powinno znaleźć miejsca w prawodawstwie kraju wobec wszystkich religii neutralnego. Z tego też powodu katolik „zawsze wierny" i obstający przy całkowitym zakazie spędzania płodu będzie się musiał – oczywiście niesłusznie – wydawać irracjonalnym uparciuchem (ισχυρογνώμων, ischyrognōmōn), o którym krytycznie pisze Arystoteles w *Etyce Nikomachejskiej,* ks. VII, rozdz. 9, s. 1151b.

Do tego dochodzi okoliczność, że nawet i bez migracyjno-brexitowych problemów przyszłość nie rysuje się zbyt jasno (ani zbyt świetlanie). Jest wprawdzie ciągle Unia Europejska, ale nie ta Schumana czy Monneta (Adenauera, De Gasperiego … *et consortes*) – o takiej Europie już dawno zapomniano, jeśli kiedykolwiek pamiętał o niej ktoś oprócz samych pomysłodawców – czym dokładnie ma być (oprócz: źródłem subwencji dla swoich najbiedniejszych członków, co się Polsce ciągle wypomina przy najmniejszej z jej strony odstępstwie od linii niemieckiej) – tego nikt nie wie. Federacją państw, strefą wolnocłową czy może państwem federacyjnym? Jakże tu więc być katolikiem-Europejczykiem (jakimi byli i Schuman, i Adenauer)? Ale są również coraz bardziej oddalające się Stany Zjednoczone i różne nowe „wynurzające się" (*emerging)* mocarstwa, przede wszystkim Chiny, ale też Indie, Brazylia, Turcja, Rosja; z tego wszystkiego wyłoni się, czy też „wynurzy", wprawdzie jakieś nowe wyzwanie dla naszego Przedmurza Chrześcijaństwa – ale jakie? Tego jeszcze nie wiadomo, można tylko snuć najrozmaitsze i najrozbieżniejsze przypuszczenia.

Ale zamiast spekulować na temat przyszłości, rzućmy okiem na teraźniejszość kraju nad Wisłą – „tego" kraju, jak to się dzisiaj mówi. Obiecywano już mu wiele, w tym również jego przeobrażenie w drugą Zieloną Wyspę; spełniło się natomiast bez porównania mniej, a daleka od stosunków irlandzkich „zawsze wierna" Polska jest ciągle jednym z najbiedniejszych członków Unii Europejskiej, z coraz głębszym rozwarstwieniu i wysokim wskaźniku nieufności społecznej. (Pani mgr T.E. Walker zbadała to dokładnie w swojej pracy magisterskiej pt. *The distrust paradox: Trust and distrust in the Polish online press, cross-national data reports and public opinion surveys, 2002–2008*, Uniwersytet Północnej Karoliny w Chapel Hill, 2009 r. – http://tinyurl.com/mgr-Walker-o-nieufnosci – i chociaż doszła do wniosku, że nieufność społeczna jest w Polsce mniejsza niż się wydaje, jej wyniki pokazują moim zdaniem tylko tyle, że Polacy mają *obiektywne powody* do niefności mniejszej niż ta, którą faktycznie wykazują.) Ktoś powiedział, że człowiek współczesny, mimo Oświecenia i Freuda, woli wierzyć w baśnie, opowiadane mu przez propagandę i reklamę, niż wierzyć w Boga, na co ktoś inny ripostował, że między obiema tymi wiarami nie zachodzi wcale stosunek wyłączania. A może jednak zachodzi?… Przeczytajmy jeszcze raz Ewangelię, która *nie jest* bajeczką dla grzecznych dzieci, a zwłaszcza takie w niej miejsca, jak np. rozdział 25. Ewangelii wg św. Mateusza, w którym jest mowa i o antycypacji (nieodległej) przyszłości, i o tym, że „coście uczynili jednemu z tych moich [Jezusa] braci najmniejszych, mnieście uczynili" (wers 40, przytaczam w tłumaczeniu ks. Dąbrowskiego), a także o tym, cośmy *nie* uczynili (wers 45). Zacznijmy czynić rzeczy, które pochwaliłby Jezus, naszym

braciom i siostrom najmniejszym i mniej małym, indywidualnie i systemowo, a wtedy być może owe nieokreślone jeszcze wyzwania przyszłości – jakiekolwiek będą – okażą się łatwiejsze, by im sprostać. Pamiętajmy też o tym, że dla naszych braci i sióstr my też jesteśmy czasem „braćmi najmniejszymi", chodzi więc nie o patronizowanie słabym przez silnych, ale w ogóle o stosunek człowieka do człowieka we współczesnej Polsce.

Jak powiedziałem na początku, wierność jest tym większą wartością im lepiej wiadomo w czym powinna się ona w danych okolicznościach przejawić. W przeciwnym wypadku, tj. kiedy jest tylko pasywnym rozpamiętywaniem tego, czemu się jest wiernym, – nie to, że jest całkowicie bezwartościowa, ale – ma tendencję do przeradzania się, by nie powiedzieć: wyradzania się, w bierny opór wobec nieuchronnych przemian lub co najmniej naiwne zdziwienie tymi zmianami i bezradność wobec nich, à la płk Redfern z *Miłości i gniewu* Osborne'a; w gorszym przypadku w bezwładny tradycjonalizm, obstawanie przy tym, jak to „zawsze" bywało, muzealnictwo, rekonstrukcjonizm (nic przeciwko rekonstrukcji chrztu Polski na Ostrowie Tumskim w Poznaniu! – piękne przedsięwzięcie). Jak mówi poeta:

Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.
[…]
Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe…
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.

Po życie sięgać – albo życie kształtować nowe, w zgodzie z literą i duchem Ewangelii. Bo ta księga – trzeba w to uwierzyć, a kto ją częściej czyta, ten to wie – nie jest tylko czcigodnym, choć może nieco zakurzonym pomnikiem kultury, jak Kodeks Hammurabiego, *Gilgamesz* czy *Popol Vuh* – tej kultury, którą niektórzy czczą z neopogańskim pietyzmem, niby jakiegoś *Ersatz*-boga. Jest księgą żywą, zdolną nadawać treść pobudkom działania. Czerpiąc z niej inspirację do codziennego porania się ze światem w duchu miłościu bliźniego, a łatwo z niej czerpać taką inspirację, będziemy wierni – jeśli nie zawsze, bo któż może wiedzieć, co zrobią nasi potomkowie – to przynajmniej w tych czasach, które są nasze.

• **dr hab. Wojciech Żełaniec, prof. UG** – Uniwersytet Gdański, Instytut Filozofii, Socjologii i Dziennikarstwa, Zakład Etyki i Filozofii Społecznej (kierownik). W centrum jego obecnych zainteresowań badawczych są reguły konstytutywne i niektóre zagadnienia deontyczne, ale też zagadnienie tzw. sądów syntetycznych *a priori* czy niektóre aspekty filozofii Franciszka Brentana. Więcej informacji: http://www.wnswz.strony.ug.edu.pl.